

## Niczego nie poświęciłem

*ks. Mirosław Maliński w rozmowie  
z Anią Andrzejewską*

Na rozmowę się spóźniam – w nocy spadł śnieg, drogi są białe, więc trasę z Opoła pokonuję dłużej niż zwykle. Parkuję pod Maciejówką i wchodzę jeszcze na chwilę modlitwy do kościoła. Wzruszam się, bo Maciejówka pachnie tak samo jak przed laty, a ten zapach zabiera mnie w podróż w czasie i przypomina mi o mnie sprzed dziesięciu lat.

U Maliny witają mnie dźwięki muzyki, otwarte drzwi i starannie zastawiony stół. Powitanie, kawa, ciastko z budyniem – to wszystko przypomina mi, że jestem w domu. I w takiej atmosferze, niczym przy domowym stole, będzie się toczyć nasza rozmowa.

W tle leci piosenka Maryli Rodowicz: „Za pewien czas, gdy któreś z nas/ Odejdzie, zapomni, zatrzaśnie/  
Zaczną się złe godziny mdłe/ Znikniemy sobie we

mgle. (...) A na razie fruwać motyle (...) jest cudnie”.

Malina: Ta piosenka towarzyszyła nam podczas ubiegłorocznej Piwnicznej.

Ania Andrzejewska: Słyszałam o tym zwyczaju wyboru piosenki na rekolekcje. Narodził się zaraz po tym, jak wyszłam z Maciejówki. Jaki był temat rekolekcji rok temu?

Samotność, przyjaźń, tłumy.

Jak wybierasz tematy, które poruszasz?

To jest jakiś kompromis między tym, czym ja żyję, a tym, czego ludzie potrzebują. Czasami się udaje, czasami nie.

Pamiętam, że gdy sama brałam udział w Piwnicznej, poruszane tematy bardzo we mnie rezonowały. Na przykład ten o marzeniach i snach. Mówiłeś wtedy, że ważne jest zapisywanie snów. Pamiętasz jakiś swój sen tutaj, w Maciejówce?

Jest kilka dla mnie bardzo istotnych, które pomogły mi coś zrozumieć. Na przykład śniło mi się, że zśliśmy ze studentami na wycieczkę na Ślężę. Były tam takie nadajniki i ludzie do nich pobiegli, wchodząc na ich teren. Wydawało mi się, że czyha na nich straszne niebezpieczeństwo, zacząłem krzyczeć, nawet bardzo agresywnie, żeby stamtąd wyszli. Byłem rozżłoszczony i wściekły, ale gdy podszedłem bliżej, zobaczyłam, że nie było tam żadnych nadajników, tylko wesołe miasteczko dla dorosłych, jakiś mały gaj. Stałem jak wryty.

To był ważny dla mnie sen, po którym zrozumiałem, że czasami mam tak ogromną potrzebę przekonania kogoś do czegoś, że nie zwracam uwagi na to, czy to w ogóle jest słuszne. Ten sen pomógł mi to dostrzec i potem wiele razy łapałem się na tym.

Ostatnio dużo mi się śni. I to mimo tego, że źle śpiam, trudno mi zasnąć, a czasem budzę się o czwartej nad ranem. Bywa, że nie odróżniam snu od rzeczywistości. Ostatni sen, który pamiętam, był o weselu, na którym widziałem wyłącznie czarno-białą zastawę. Zupełnie zagadkowe. A potem biało-czarne góry w tle...

**Ks. Krzysztof Grzywocz napisał, że nasze marzenia wpływają na nasze sny, a nasze sny na marzenia. Kiedy zamarzyłeś o Maciejówce?**

Byłem prawie trzydziestoletnim chłopakiem, mieszkałem w Taizé i przymierzałem się do tego, żeby zostać tam na stałe. Było mi dobrze – pracowałem przy ceramice, odkryłem swoje nieprzeciętne zdolności manualne i strasznie mnie to pochłonęło. Życie toczyło się spokojnie, aż brat Marek zasugerował, że bym zaangażował się również w spotkania i wymyślił, że w niedzielę będę przychodził na przyjęcie grup. Moim zadaniem było przyjmowanie księży z Polski. To byli dobrzy kapłani, którym chciało się zorganizować wyjazd z młodzieżą. Jednak, w moich oczach, nie rozumieli tego, co się tam działo. Często po przyjeździe zostawiali grupę, a sami chcieli odpocząć, bo byli zmęczeni całoroczną ciężką pracą w szkole, uważali, że młodzież jest przecież otoczona opieką. A ja to od-

bierałem jako porzucenie tych młodych i miałem do nich pretensje.

Z kolei w rozmowach z młodzieżą przewijało się narzekanie, że kiedy wrócą do Polski, trafią w duchową pustkę, bo brakowało im stałego życia duszpasterskiego. Zaczęło to we mnie pracować... Lepiej garnki w samotności i rozmyślałem coraz więcej o tej sytuacji. Pojawiła się myśl: „no dobrze, jak chcesz coś zmienić, to proszę bardzo, jedź do Polski”. Powiedziałem o tym jednemu z braci, a on stwierdził, że dobrze to sprawdzić, tj. pojechać do Polski i z kimś mądrym porozmawiać. Sprawdziłem i podjąłem decyzję o powrocie.

Kiedy wyjeżdżałem z Francji, siedziałem w pociągu z głową w dłoniach i myślałem: „Co ty robisz? Masz przecież całe życie ułożone”. We wspólnocie w Taizé realizowały się moje życiowe marzenia... To nie były łatwe chwile. Czułem, że coś tracę, ale też czułem w sobie taki imperatyw.

**Coś cię wołało. To się chyba właśnie nazywa powołanie.**

Tak – i nie mogłem się temu oprzeć. Ostatecznie wróciłem więc do Polski i wstąpiłem do wrocławskiego seminarium, a po święceniach trafiłem do Środy Śląskiej, ale na krótko. Po dwóch latach kardynał Henryk Gulbinowicz wezwał mnie i powiedział, że idę do Maciejówki, której wtedy nie znosiłem. To było duszpasterstwo, w którym były duże napięcia jeszcze za czasów jezuitów. Nie lubiłem nawet architektury

samego kościoła, tego budynku, więc był we mnie duży opór.

### **Ciekawy początek...**

Potem było jeszcze ciekawiej. W rozmowie z kardynałem upierałem się, że skoro mam zostać duszpasterzem akademickim, to chcę zamieszkać w akademiku. On się oczywiście temu sprzeciwiał, aż w końcu mocno „wkurzony” krzyknął: „Nie będę bawił twoich dzieci! Koniec. Kropka. A jak chcesz, to sobie sam akademik wybuduj”. To była bardzo dobra myśl... Zacząłem się zastanawiać: akademik może nie, ale jakiś dom, żeby zamieszkać ze studentami... Jednak to wydawało się kompletnie nierealne. Zaczynaliśmy przecież z kościołem w stanie ruiny, sypiącym się budynkiem i bez środków do życia.

### **Zaczynaliśmy? Kto z Tobą współtworzył wtedy Maciejówkę?**

Na pierwszych Mszach w tygodniu bywały dwie, trzy osoby, a w niedzielę bywało może dwadzieścia. Ale była jedna interesująca, spójna i zdrowa grupa – Odnowa w Duchu Świętym – która liczyła kilkadziesiąt osób. Byli pomostem między czasami jezuickiej Maciejówki a momentem mojego przyjscia. Warto im za to podziękować, zwłaszcza Robertowi Szareckiemu.

Podziwiałem ich: jeździli do Piwnicznej bez księdza, bo jakoś trudno było im kogoś przekonać do warunków tego miejsca i sami sobie głosili rekolekcje, sami gotowali i chodzili codziennie na Mszę Świętą do wsi. To jest ładny kawałek, z pół godziny drogi. Na pierw-

sze rekolekcje nie zostałem zaproszony – na początku nie było nam łatwo, ich styl był dla mnie trudny, ale im chyba jeszcze trudniej było ze mną. Czuli mój opór. A potem zaczęliśmy uczyć się siebie nawzajem i rok później pojechałem z nimi do Piwnicznej i... zachwyce-łem się! Piwniczna to miłość od pierwszego wejrzenia.

**Czy poza Piwniczną jest jeszcze coś z wcześniejszego funkcjonowania Maciejówki, co uznałeś, że warto zachować?**

Z pewnością model duszpasterstwa, w którym udział świeckich był bardzo duży. Tak kreował to o. Stanisław Mrozek SJ. Ojciec Mrozek nie był dobrym mówcą. Ale był niezwykle w bezpośrednim kontakcie i bardzo charyzmatycznym człowiekiem czynu. To on zrobił całą infrastrukturę, którą tu zastałem: kuchnię, pomieszczenia na spotkania. Po latach zresztą ojciec Mrozek nadal do nas przyjeżdżał i bardzo życzliwie patrzył na nasze poczynania. Wprowadzając zmiany, mieliśmy w nim sprzymierzeńca. Zresztą cała ekipa dawnej Maciejówki zawsze nas bardzo wspierała.

**Kiedy poczułeś, że to marzenie, które narodziło się w Taizé, zaczyna się realizować?**

Natychmiast! Byłem przeszczęśliwy. Choć w pierwszym roku zupełnie mi nie szło – jakbym walił głową w mur.

**Miałeś takie myśli, że się nie uda?**

Tak, w pewnym momencie wydawało mi się, że trzeba zrezygnować. Ja się starałem, a ludzi nie było. Do aka-

demików daleko, choć „uniwerek” pod nosem, więc studenci włóczę się w okolicy w ciągu dnia. Zatem w końcu wpadliśmy na pomysł, żeby w ciągu dnia wprowadzić adorację Najświętszego Sakramentu i spowiedź – ludzie będą przychodzili, a ja sobie siadę i będę ich spowiadał. Siedziałem w sali z napisem „spowiedź” i... nikt nie przychodził. Ile ja książek wtedy przeczytałem!

Po jakimś czasie coś jednak zaczęło ruszać... Pojawił się m.in. Maciek Pichlak, który miał jakąś zdolność sprowadzania ludzi dalekich od Kościoła. To był niezwykły widok, kiedy do Mszy Świętej służyli chłopacy w dreadach albo ogoleni na łyso, kompletnie nieobcy z Eucharystią. Przynosili ampułki z ręką w kieszeni i grzecznie pytali: „Jeszcze coś ci podać?” (*śmiejemy się oboje*). Ej, to była świeżość.

Stopniowo pewna grupa studentów zaczęła odkrywać tutaj kawałek domu. Wprowadziliśmy wspólne posiłki, między innymi regularne obiady i kolacje w ciągu tygodnia. Choć warunki były naprawdę ciężkie: straszna ciasnota, przy stole mieściło się ledwie kilkanaście osób. Do tego jedyne okno w kuchni wychodziło prosto na kościół. Jak zaczynało się gotowanie, to ludzie podczas adoracji dostawali ślinotoku.

Dla mnie ważne było, żeby drzwi były stale otwarte, jak w domu. Do tej pory tak jest – otwieramy dom o 7 i zamykamy o 23. Oczywiście ktoś nas czasem okradnie, ale to są normalne koszty, które ponosimy za taki styl życia.

## Otwarte drzwi, wspólne posiłki – co jeszcze składa się na DNA Maciejówki?

Muzyka. Dosyć szybko w Maciejówce pojawiły się dziewczyny z Akademii Muzycznej, które miały duże poczucie smaku muzycznego i zabrały się za muzykę w trakcie liturgii. Szybko powstała dobra schola, zaczęły pojawiać się instrumenty, głównie gitara. Jednym z pierwszych gitarzystów był Bartek Kot, spotkany gdzieś w akademiku na kolędzie. Wszedł do duszpasterstwa z ogromnym zapałem i poświęceniem. Tu odkrył swoje powołanie kapłańskie. Następnie pojawił się niezniszczalny gitarzysta Szymon Rabiej, który grał na Mszy Świętej niemal codziennie przez bodaj siedem lat. Jego wierność i gotowość do służby bardzo mi imponowała.

## Co najbardziej pomogło Ci przygotować się do pracy z młodymi ludźmi?

Wiesz... Wydaje mi się, że do rozmowy z młodymi ludźmi zawsze byłem nieprzygotowany. Pamiętam, jak kiedyś w nocy zadzwonił domofonem wyraźnie podchmielony chłopak. Chciał koniecznie porozmawiać na temat wiary. Zgodziłem się, ale zaznaczyłem, że to są poważne sprawy i trzeba o nich rozmawiać na trzeźwo. Zaprosiłem go na rozmowę następnego dnia. O dziwo, przyszedł. Mówił jędrnym i obrazowym językiem ze smakowicie umieszczonymi wulgaryzmami, których zazwyczaj nie znoszę... A ja mu odpowiadałem jakąś nudną prozą. Król był nagi: ja tego języka nie znałem. Musiało minąć trochę czasu, zanim



zdałem sobie sprawę, że nie muszę. Że to oni są młodzi – ja już nie.

Dla tego chłopaka zaczął się wtedy czas prawdziwego nawrócenia. To był dłuższy proces, który doprowadził go do służby – animowania jednej z wrocławskich grup duszpasterskich..

**Skąd się wzięło mówienie do ciebie przez studentów na ty?**

Zacząło się od mojego pierwszego wyjazdu na obóz w Białym Dunajcu. Na obozie byli też ludzie z Wawrzynów, z którymi znałem się od lat – najpierw podczas studiów, potem kiedy byłem w seminarium – zatem byliśmy na ty. Stwierdziłem więc, że głupio, żeby Wawrzyny mówiły do mnie mi na ty, a Maciejówka „proszę księdza”. Poza tym kultura wymagałaby, że jeśli ktoś mówi do mnie „proszę księdza”, to ja będę odpowiadał „proszę pani/ pana”, a to nie buduje rodzinnej atmosfery bliskości, a na tym mi bardzo zależało. Powiedziałem więc studentom, żeby mówili do mnie tak, jak mówią do swoich rodziców. I tak stopniowo rozdziła się między nami bliskość i przyjaźń.

**Jak to się stało, że ten kościół w ruinie udało się doprowadzić do obecnego stanu? Niektórzy twierdzą, że to jedna z piękniejszych świątyń we Wrocławiu.**

Początkiem było odłączenie duszpasterstwa od parafii uniwersyteckiej i utworzenie kościoła rektoralnego. Napisałem do kardynała kilkanaście próśb w tej sprawie, on konsekwentnie odmawiał, aż w końcu stwierdził, że to się robi nudne. Ja na to: „Wystarczy

jedno słowo eminencji...”, a on na to: „Ty wiesz, co eminenca powinien zrobić! Wszystkie rozumy zjadłeś!”. Niedługo potem zaczęliśmy pisać akt erekcyjny.

Oczywiście to był dopiero początek prawdziwych wyzwań, jakimi okazały się remonty. Gdybym wiedział, jak gigantyczne to przedsięwzięcie i z jakimi trudnościami będzie się wiązać, to bym się za to nie zabrał. Ale moją najsilniejszą stroną przez te wszystkie lata była nieświadomość.

Gdy zaczynaliśmy, nikt nie był skłonny uwierzyć, że jesteśmy w stanie to zrobić. Trudno się dziwić: facet i jego zespół nie ma żadnych środków, nigdy nie robili żadnych remontów, nie realizowali wielkich projektów... I uwierzyć takiemu gościowi, że oni to zrealizują. Stopniowo znalazło się jednak kilka wspaniałych osób, które bardzo nam pomogły – Ania Dutkiewicz, jej mąż Rafał (wówczas prezydent miasta), Ludwik Komorowski (prorektor politechniki), Kazik Ujazdowski (wtedy minister kultury)... Udało nam się w krótkim czasie odnowić kościół, wyremontować i powiększyć budynek duszpasterstwa, wstawić witraże, czy odrestaurować barokową ambonę. Zupełnie nie do wyobrażenia na początku tej drogi.

**I nie budziło to zastrzeżeń, że miasto albo ministerstwo daje pieniądze na projekt kościelny?**

Nie jestem oczywiście w pełni bezstronny, ale uważam, że funkcjonowanie Duszpasterstwa Akademickiego przynosi ogromne korzyści dla całego społeczeństwa. Jest to jedna z bardzo nielicznych zorganizowanych przestrzeni, w których ludzie z różnych uczelni

i kierunków mogą się spotkać i podjąć wspólne konkretne działania dla dobra innych. Jednocześnie jest to szkoła postaw obywatelskich i brania odpowiedzialności za świat wokół nas. Takie pojęcia jak dobro wspólne, społeczeństwo obywatelskie, zasada pomocniczości – tutaj zyskują konkretny wymiar.

Błogosławieństwem po raz kolejny okazało się to, że dysponujemy skromnymi środkami i utrzymujemy się w zasadzie sami. Podam ci konkretny przykład: parę lat temu musieliśmy kupić nowe alby i ornaty – stare były już w opłakanym stanie. Ale jak je sfinansować? Zrodził się pomysł wydania w tym celu książeczki pomagającej w przeżywaniu Wielkiego Tygodnia. Nagle zebrał się zespół ludzi. Ktoś napisał teksty, ktoś je zredagował, ktoś inny zilustrował. Potem ludzie po parafiach, a nawet za granicą to kupowali i mogli lepiej przeżyć Święta Paschy. Ogromna inicjatywa, do której by nie doszło, gdybym mógł np. zadzwonić do kurii i poprosić o pieniądze. Na szczęście takiej możliwości nie mam.

Pamiętam, jak raz poszedłem do spowiedzi do swojego spowiednika i zrozpaczony powiedziałem mu: „Prawda jest taka, że kompletnie straciłem panowanie nad duszpasterstwem”. A on mi odpowiedział: „Nareszcie!” (*śmiech*). To jedna z ważniejszych spowiedzi w moim życiu.

**W to budowanie postawy odpowiedzialności wpisuje się też chyba powierzanie wybranym studentom funkcji „szefów duszpasterstwa”?**

Tak, jak najbardziej. Od samego początku zacząłem współpracę z szefami.

### **Jak ich wybierasz?**

Trochę się przyglądam. Kryteria są różne. Są ludzie, którzy są od razu gotowi się zaangażować – mają swój styl pracy, którego my nie znamy, chociażby twoje doświadczenie z harcerstwa, które było nam bardzo potrzebne. Są inni, którzy potrzebują takiego impulsu, żeby mogli wykonać pewien skok w rozwoju. Tak było na przykład z Piotrkim Markiem: był już w Maciejówce jakieś dwa, trzy lata, a ja zauważyłem, że potrafi robić rzeczy, które trafiają do ludzi. Pamiętam jak dzisiaj: wyszliśmy na podwórko, mówię mu: „Piotrku, może byś został szefem duszpasterstwa”. A on: „Dobra, ja już tak długo się obijam, że czas najwyższy”. Jego siostra była wtedy szefową w Beczce w Krakowie u Adasia Szustaka. Tak więc rodzina Marków opanowała w tym samym czasie dwa dość znane duszpasterstwa w Polsce.

### **Kiedy poczułeś, że potrzebujesz wsparcia drugiego duszpasterza?**

Gdy tylko ustanowiliśmy kościół rektoralny. Wtedy od razu powiedziałem kardynałowi, że potrzebujemy drugiego duszpasterza. Tu oporów nie było. Wtedy bardzo często jeździłem prowadzić rekolekcje, szczególnie adwentowe i wielkopostne, bo to był sposób utrzymania duszpasterstwa. Nie było mnie więc cały grudzień i dwa miesiące na wiosnę. Kardynał powie-

dział: „Dobrze, dostaniesz Wawrzynka. Pożrecie się”. No i faktycznie, okazało się, że z Piotrkim byliśmy kompletnie inni. Jak ja mówiłem, że w lewo, to on, że w prawo. Ale mnie to było szalenie potrzebne – współpraca z kimś zupełnie ode mnie innym, kto będzie inaczej myślał. Ja jestem impulsywny, chaotyczny, a Piotrek zaczął mnie uczyć systematyczności. Mówił mi: „Słuchaj, musi być jakaś powtarzalność. Trzeba powbijać pale i robić rzeczy, które nie są dla ludzi zaskoczeniem”. I dzięki niemu z takiego maciejówkowego chaosu zaczęło wyłaniać się coś poukładanego.

Po Piotрку był Wojtek Zięba, a po nim przyszedł Grzesiu Tabaka. Grzesia zaproponowałem sam po tym, jak zobaczyłem go kilka razy w akcji na pieszej pielgrzymce. Widząc, jak genialny ma kontakt z ludźmi, pomyślałem, że mógłbym się od niego wiele nauczyć. On ma niezwykłą, pełną szczeroci prostotę – nic nie gra, jest bardzo skromny. A przy tym jest szalenie inteligentny, silny fizycznie, z niebanalnym poczuciem humoru. Wniósł dużo normalności, ludzie ogromnie go lubili.

Następnie był maciejówkowy potomek, czyli Bartek Kot jako trzeci ksiądz, jeszcze z Grzesiem. A ponieważ w Maciejówce nie było już miejsca, gdzie mógłby zamieszkać, po różnych przymiarkach Bartek wylądował u sióstr boromeuszek, pełniąc jednocześnie funkcję kapelana w prowadzonym przez siostry zakładzie opieki leczniczej. Początkowo byłem sceptyczny wobec tego rozwiązania, ale okazało się, że dzięki temu

mogliśmy zbudować dobrą więź z siostrami i z ludźmi, wśród których pracują.

Potem była podmianka Grzesia na Adama Kwaśniewskiego. Adam studiował w Rzymie i zawsze, kiedy przyjeżdżał do Wrocławia, zaglądał do nas. Pytał, czy nie potrzebujemy pomocy. Zadzwoiłem więc do niego do Rzymu, czy nie chciałby przyjść do Maciejówki. Wymagało to od niego nieco szybszego powrotu, ale ucieszył się, był bardzo otwarty. No i tak sobie żyjemy.

**A siostry zakonne? One też pojawiają się w historii Maciejówki.**

Tak, od początku chciałem, żeby były siostry, nie wiedziałem tylko, jak to zorganizować. W pewnym momencie udało się jednak nawiązać współpracę z s. Beatą salezjanką, potem z s. Filipą i s. Nikodemą – Uczennicami Krzyża, a następnie z s. Jakubą, która nadal jeździ z nami do Piwnicznej, i s. Ewą profesor z Uniwersytetu Przyrodniczego, która ma świetny kontakt ze studentami. Ich obecność jest nieoceniona – zarówno w Piwnicznej, gdzie zawsze komentują słowo Boże podczas jutrzni, jak i w życiu duszpasterstwa. Bez nich Maciejówka nie byłaby taka sama.

Ale w tworzenie Maciejówki zaangażowane były też osoby świeckie. Myślę zwłaszcza o Magdzie Baszak, która urządziła sekretariat i uporządkowała sprawy organizacyjne, oraz o nieocenionej Uli Neumann, która, będąc osobą bardzo wrażliwą na ludzką biedę, jaką są zmagania psychiczne i problemy rodzinne, ruszyła z poradnią rodzinną. Ula miała „dyszel”, wie-

działa czego chce i była gotowa do dużych poświęceń. To był strzał w dziesiątkę, poradnia działa do dzisiaj i korzystają z niej kolejne pokolenia.

**Ważnym elementem, który często pojawia się w Twoich biogramach, jest fakt, że mieszkasz ze studentami.**

Tak, to dla mnie bardzo istotne. Ale na początku opór w duszpasterstwie był ogromny. Byłem tym bardzo zdziwiony, aż zrozumiałem, że ludzie boją się, że będzie jakaś grupka lepiej traktowana, a dla innych zabraknie miejsca, czasu i życzliwości. Wtedy uznałem, że to musi dokonać się w procesie: najpierw zamieszka jedna osoba, a potem stopniowo spróbujemy zwiększać liczbę. Od początku zależało mi na elementach życia wspólnotowego: modlitwie, posiłkach, pracy. Pogodzenie tego z życiem studenckim bywa trudne i wymaga pewnej elastyczności. W tym roku np. czasami śniadanie jest o 7.15, a czasami o 8.15. Dla mnie, starszego człowieka, różne pory wstawania nie są łatwe, ale warto zacisnąć zęby, by razem odmówić jutrznię i zjeść śniadanie, a wieczorem spotkać się na komplecie. To może wydawać się niewiele, a jednak to bardzo dużo. Również całą pandemię przeżyliśmy tutaj razem z chłopakami, co też nie było łatwym doświadczeniem.

**Wspólne mieszkanie bywa trudne?**

Ale też cudowne. Nie wyobrażam sobie innego życia. Przestałem nosić klucze, bo jestem przyzwyczajony, że w domu zawsze ktoś jest. Zdarzyło się nawet, że przy-

jechałem wieczorem, a okazało się, że dom jest pusty i nie mogę wejść. Poszedłem więc na spacer po rynku, wróciłem po godzinie i już ktoś na szczęście się zjawił.

Uwielbiam swój poranny obchód po śniadaniu: zajrzeć do wydawnictwa, do kawiarni, zobaczyć, że to wszystko żyje, że każdy coś robi i że jest dobra atmosfera. Miód na moje serce. Rytuał codzienny.

**No właśnie, sporo tego: wydawnictwo, kawiarnia, fundacja, wciąż duszpasterstwo... Jak to wszystko godzisz?**

Ufam ludziom. Oni mają swoje kompetencje, a ja jestem jedynie głosem doradczym. W fundacji, którą założyliśmy, nie zasiadam ani w radzie, ani w zarządzie.

**Jakie są koszty takiego życia? Co musiałeś poświęcić?**

Nic. Niczego nie poświęciłem. Może tylko kiedy patrzę na relacje między dziećmi a rodzicami, to dopieka mi celibat. Wtedy troszkę boli. Ale nie można mieć w życiu wszystkiego i to, co wybrałem, a raczej do czego zostałem wybrany, daje mi niezwykle szczęście. Absolutnie jestem obdarowany. Bóg daje mi wielką łaskę, że mogę swoje życie tak przeżywać. To jest cud. Trochę nie wierzyłem, że to się zdarzy... Kiedy wracałem tym pociągami z Taizé, przeżywałem walkę wewnętrzną: wierzyć, czy nie wierzyć? Ale tak sobie wtedy pomyślałem, że w zasadzie to nie jest tak ważne. Najważniejsze, żeby gdzieś życie oddać. A gdzie i jak to będzie przebiegać – to mniej istotne.

W mojej rodzinie jesteśmy długodystansowcami. Moja babcia umarła w łóżku, w którym się urodziła.



Mój tata i moja mama pracowali całe życie w jednym miejscu. Moja siostra mieszka w tym samym mieście, pracuje na tym samym stanowisku całe życie. Ja też już tyle lat tu jestem...

**I dalej chce ci się poznawać nowych ludzi, budować z nimi relacje?**

Ostatnio jest trochę ciężiej, trudniej mi złapać z nimi kontakt i znaleźć wspólny język. Wiesz, ja się starzeję – te dwadzieścia trzy lata to jednak jest kawałek życia.

Był też taki moment, że byłem zmęczony rozstaniem. Przyszedł mi wtedy z pomocą obraz dróżnika. Rodzice Orzecha mieszkali obok budki dróżnika i kiedy ich odwiedzaliśmy mogłem podpatrywać jego pracę. Czasem czuję, że moje życie wygląda podobnie – zamykam szlaban, ludzie na chwilę się zatrzymują, pogadam sobie z nimi, pociąg przejedzie, otwieram szlaban, ludzie idą. A tych z pociągu nawet nie widzisz... Nauczyłem się już, że kiedy ktoś przyjdzie na rok czy dwa, to warto się nim nacieszyć, na niego napatrzeć.

**Mówisz o radości, o smutku, jakie jeszcze uczucia najczęściej towarzyszą ci w pracy duszpasterskiej?**

Ostatnio zmęczenie, znużenie, trochę też uczucie niedostatku czy niewystarczalności. Ale również zadowolenie, np. z wydawnictwa. Gdyby moja polonistka usłyszała, że napisałem jakąś książkę! (*śmiech*) Nigdy nie przypuszczałem, że będę żyć z pisania...

## **A często się denerwujesz?**

Wydaje mi się, że coraz rzadziej. Ludzie też zauważyli, że jestem spokojniejszy. Kiedyś byłem strasznym furiatem, był nawet okres, że byłem nieobliczalny. W pewnym momencie ludzie zwrócili mi na to uwagę. To, że mieli rację, było dla mnie bardzo trudne.

## **Powiedziałeś kiedyś, że w oczach wspólnoty przeglądamy się, kim jesteśmy...**

Czasem ludzie mówią ci wprost, co sądzą o tobie i to boli, ale jest szalenie cenne. Dlatego wiem, że gdybym budował większy dystans, gdybyśmy w duszpasterstwie nie mówili do siebie po imieniu, byłoby to dla mnie niebezpieczne.

Niektórych swoich postaw dalej nie rozumiem. Na przykład w Piwnicznej czy na tratwach dochodzi od czasu do czasu do napięć między mną a ludźmi, które to ja bezwiednie generuję. Nie jest to tak silne jak kiedyś, ale wciąż jest.

## **Z perspektywy tych dwudziestu trzech lat, kim jest student, który trafia do Maciejówki?**

Ludzie bardzo się zmieniają. Pamiętam czasy, kiedy przynosiłem do Maciejówki pączki i studenci się na nie rzucali. Niedawno też przyniosłem pączki, a ludzie pytali: „A z czym są? Jak z budyniem, to nie”. W ostatnich kilku latach żyjemy w niesamowitym dobrobycie. A jednak, co dziwne, ludzie wciąż czują się dobrze w Piwnicznej, gdzie warunki są niezwykle proste. Odkrywają, że do życia nie potrzeba wiele.

## Jakiego Kościoła i jakiej Maciejówki w takim razie dziś potrzeba?

Jeszcze nie wiem. Jesteśmy teraz w nowym miejscu, bo mam wrażenie, że ci, którzy chodzą jeszcze do Kościoła, często mimo wszystko robią to z rozpędu. Coraz częściej nie wiedzą, po co w ogóle jest potrzebny Bóg. Pojawiają się nawet takie głosy, że życie przy Bogu to jest chowanie się pod kloszem, a młodzi chcą w końcu żyć prawdziwym życiem. Miałem już kilka bardzo trudnych rozmów w tym duchu. Czasem można poczuć, że chrześcijaństwo nie jest już wartością, ale obciążeniem. I to jest dla mnie zupełnie nowa sytuacja.

Duszpasterstwo jest tworem dynamicznym. Piotrek Wawrzynek miał rację, mówiąc o tych stałych palach, tylko że nie wiem, gdzie dziś one powinny być wbite. Zawsze wydawało mi się, że taką stałą jest Msza Święta, spowiedź, ale ostatnio na Mszę przychodzi dwadzieścia osób, a na spotkanie po Mszy sto. Kiedyś było odwrotnie. To jest dla mnie jakimś sygnałem, że to źródło jest dla studentów coraz mniej dostępne. Zdecydowanie mniej czasu schodzi mi na spowiedź – spadło „zapotrzebowanie”. Z kolei więcej ludzi pojawia się obecnie na adoracji... Więc przyglądamy się czemuś, co jest szalenie dynamiczne. Teraz trwa jakaś gruntowna przemiana, której jeszcze nie rozumiemy.

Myślę, że na razie trzeba budzić potrzebę. Bardzo potrzebują Boga ludzie, którzy zmagają się z poważnymi słabościami, deficytami, uzależnieniami, gdy dotykają granic i sami sobie nie radzą. Oni mówią: tak, potrzebuję Boga (*Malina się zamyśla*). Oczywiście,

ludzie w takich sytuacjach szukają pomocy w terapii i to dobrze. Ale bardzo ważne jest odkrycie, że ta bezsilność ma też wymiar duchowy i potrzebuje odpowiedzi na poziomie duchowym. Inaczej będziemy walić głową w mur.

**A o czym teraz marzysz?**

*(Chwila ciszy)* Marzę o znalezieniu ludzi, którzy szukają Chrystusa. Może nie wiedzą, czego szukają, ale generalnie szukają Chrystusa.

SZYBKIE PYTANIA

**Gdy myślisz (jednym słowem):**

- **student** – przyjaciel
- **Maciejówka** – dom
- **Kościół** – marzenie
- **miłość** – ludzie
- **wiara** – nieprawdopodobne
- **modlitwa** – pokój
- **Eucharystia** – życie

**Przy czym wypoczywasz?** Przy muzyce.

**Jak się złościś?** Intensywnie.

**Zwierzęta czy ludzie?** Ludzie są, a za zwierzętami tęsknię.

**Ulubiona bajka z dzieciństwa?** „Miś Uszatek” i „Przygody Misia Coralgola”.

**Ulubione miejsce w Polsce?** Biebrza.

**Chrapiesz?** Tak.

**O jakim zawodzie marzyłeś w dzieciństwie?** Aktora.

**Wolisz o czymś czytać, czy tego doświadczać?** Zależy, co to jest... Chyba doświadczać.



Tratwy na Biebrzy  
fot. Michał Klepacki

**Czego już nigdy nie zrobisz?** Dzieci.

**Ulubione danie?** Pierogi z serem na słodko.

**Ulubiona książka?** „Hrabia Monte Christo”  
i „Nędznicy”.

**Ulubiony obraz?** Jest ich bardzo dużo. Np.  
„Dziewczynka z chryzantemami” Olgi Boznańskiej.

**Jakie ostatnie słowa chciałbyś wypowiedzieć w życiu?** Hmm... Nie chciałbym, żeby były wypowiedziane w próżnię.